płomyczek

DWUTYGODNIK DLA DZIECI | 16—31 · V · 1986 | 10

Fot. Jerzy Jaworski

Dzień dobry z uśmiechem

Rys. Gwidon Miklaszewski

— Chwaliłeś się, że umiesz stawiać namiot!

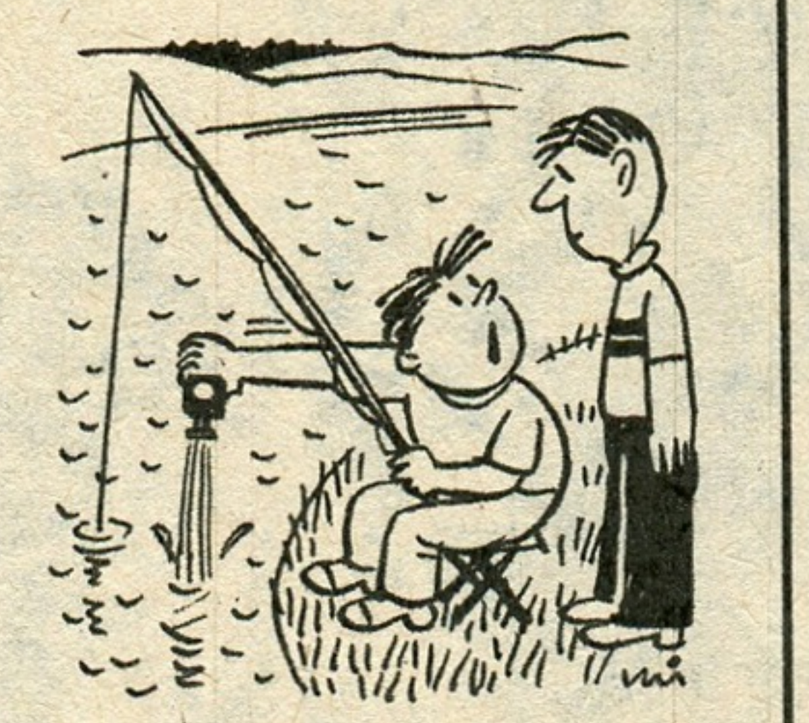

— Ryby nie chcą brać, więc im daję coś na apetyt!

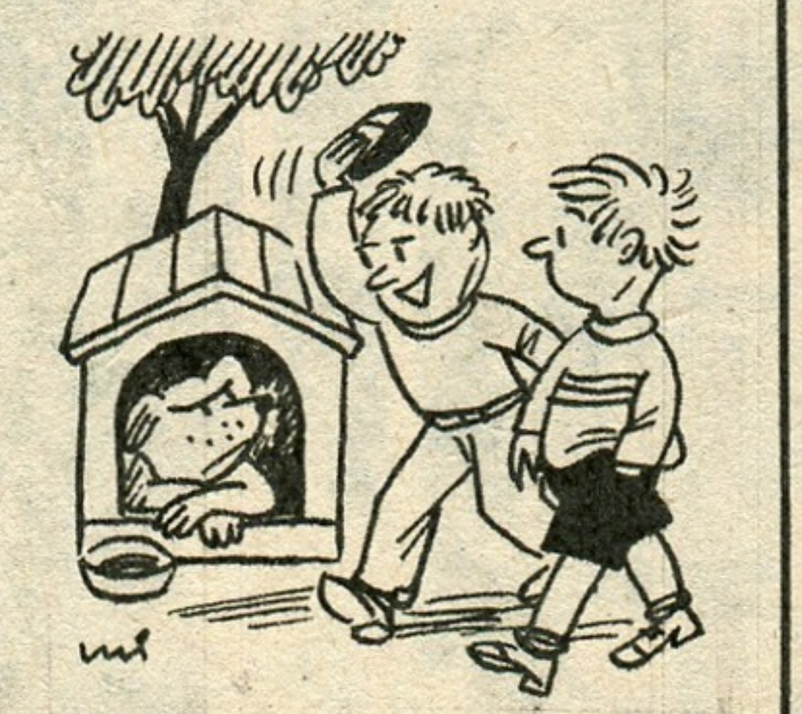

— Dla niego trzeba być uprzejmym, on tu pilnuje sadu owocowego!

• A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! • A TO CIEKAWE! •

NAJSZYBSZYMI ptakami są jerzyki. Osiągają prędkość 320 km na godzinę, a niektóre gatunki tych ptaków w Australii i w Indiach latają z prędkością 400 km na godzinę.

●

NAJCIEPLEJSZYM miejscem w Polsce jest Świnoujście. Przeciętna temperatura latem wynosi tam 19 stopni Celsjusza. Zdarza się też, że zimą, kiedy w Warszawie lub w Białymstoku marzniemy przy 20-stopniowym mrozie, to w Świnoujściu temperatura utrzymuje się w pobliżu zera. Obliczono, że w tej nadmorskiej miejscowości średnio w ciągu roku przypada aż 205 dni, gdy panuje temperatura powyżej zera.

●

NAJGŁĘBSZYM jeziorem na świecie jest Bajkał w południowo-wschodniej Syberii w Związku Radzieckim. Powierzchnia tego jeziora wynosi ponad 30 tys. km kwadratowych, a głębokość — 1740 m. W jeziorze Bajkał żyje wiele gatunków zwierząt i roślin nigdzie indziej nie spotykanych. Do Bajkału wpływa 336 rzek, a z jeziora wypływa tylko jedna, potężna Angara, zasilająca wiele elektrowni wodnych.

NAJKRÓTSZA linia lotnicza na świecie łączy dwie wyspy archipelagu Orkady u wybrzeży północnej Szkocji. Ma ona zaledwie 4 km długości. Według rozkładu lot ma trwać 2 minuty, ale kiedy wieją pomyślne wiatry podróż trwa zaledwie 7 sekund.

●

NAJZIMNIEJSZĄ częścią ludzkiego ciała jest nos. Na jego końcu temperatura wynosi 22 stopnie.

●

NAJGĘŚCIEJ zaludnionymi państwami są: Monako, gdzie na 1 km kwadratowy przypada statystycznie 16 770 mieszkańców, Singapur — 4010, Watykan — 2040, Malta — 1070 osób.

W Polsce średnio na 1 km kwadratowym mieszka 118 osób.

Do najrzadziej zaludnionych krajów natomiast zalicza się: Mongolię, Botswanę, Libię, Mauretanię, w których gęstość zaludnienia wynosi 1 człowiek na 1 km kwadratowy. A w kraju Ewenków na Syberii (ZSRR) na 52 km kwadratowe przypada zaledwie 1 człowiek.

Nasza okładka:

Zalipie — malowana wieś

TĘCZA

Deszcz szeleści
w trawach i w liściach,
w świeżej zieleni.

Śmignęła wilga
i woła z zielonych cieni.

Czerwone są wiśnie,
zielone — liście,
wilga żółta,
błękitne niebo.

Deszcz ucieka
z brzozy na brzozę,
już jest daleko.

Przebiegł Wisłę
i teraz w słońcu,
już gdzieś zza Wisły,
wszystkie kolory naraz
w tęczy rozbłysły.

Czesław Janczarski
Rys. Zbigniew Rychlicki

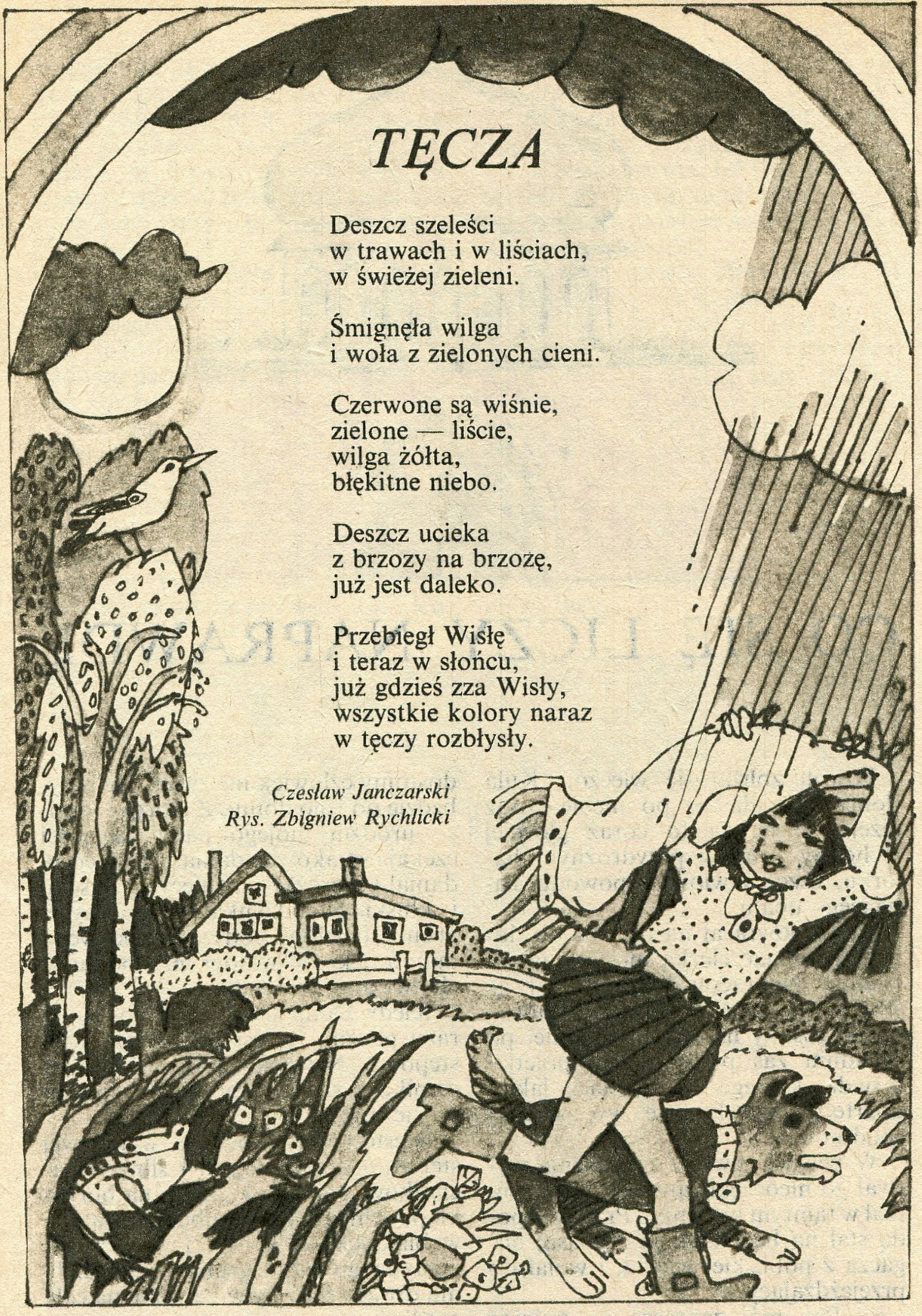

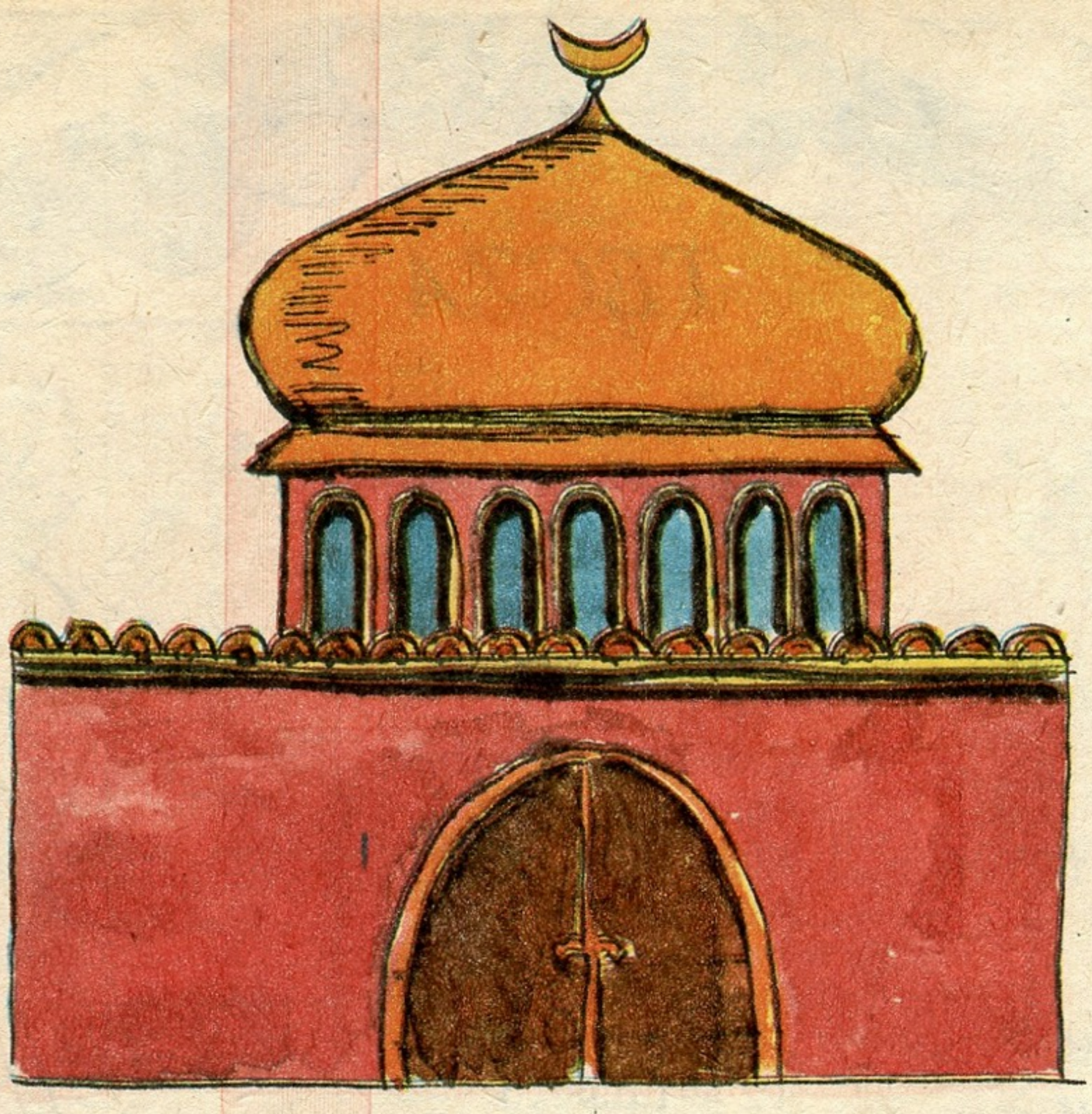

CO SIĘ LICZY NAPRAWDĘ

Powoli zbliżał się wieczór. Kula słońca staczała się po niebie coraz niżej i niżej, za to coraz głośniej rechotały żaby w przydrożnym bajorku, uszczęśliwione z powodu słabnącego upału.

Salim powracał na osiołku do domu, trzymając ciężką motykę na ramieniu. Napracował się dzisiaj aż strach. Od rana do południa obkopywał rośliny na swoim zagonie, po południu zaś pracował na poletku sąsiada, którego od miesiąca jakieś uparte choróbsko nie wypuszczało spod kołdry.

W pewnej chwili z zamyślenia wyrwał go nieoczekiwany wrzask. Spojrzał w tamtym kierunku. Przed gospodą stał na beczce sługa Abbasa, bogacza z pobliskiej wioski, i wołał do przejeżdżających:

— Pan mój zaprasza na gościnę ludzi równych sobie. Niechaj każdy dostojny człowiek nie zwlekając przybędzie do jego domu. Z okazji rocznicy urodzin mojego pana na gości czekają smakowite dania. Aj, aj, co za dania! I pierożki z jagnięcym mięsem, i kluski z rodzynkami, i soczyste arbuzy, i melony słodsze od lipcowego miodu, i kosze winogron, i półmiski chałwy z migdałami.

Kiedy Salim usłyszał te słowa, od razu poczuł, że jest głodny jak wilk stepowy. Niewiele myśląc skierował osiołka w stronę zagrody gościnnego bogacza.

Niestety, przy bramie wjazdowej sterczało dwóch tęgich i silnych pachołków. Na widok człeka na burym kłapouchu, do tego w ubogich szatach wyblakłych od słońca i szarych od pustynnego kurzu, grubasy zagrodziły mu drogę i poczęły wrzeszczeć na całe gardło:

— Dokąd to, chudy robaku? Nie

widzisz, że nasz pan przyjmuje dziś gości? Zamożnych, a nie takich jak ty, w zakurzonym kaftanie, połatanych portkach i w dziurawych sandałach na bosych nogach. Czy naprawdę myślisz, że naszego pana uradują liche szaty i pusta kieszeń byle przybłędy?

— Wracam z pola po ciężkiej pracy, więc jestem i trochę zmęczony, i trochę zakurzony — wyjaśnił grzecznie Salim. — No, ale nie jestem żadnym przybłędą, lecz sąsiadem waszego pana.

Grubasy jak na komendę złapały się za brzuchy.

— Cha, cha, cha! Jesteś sąsiadem naszego pana? Ty, chudy robaku? Cha, cha, cha! Naszym sąsiadem jest bogaty Karim. I bogaty Abdułła. I jeszcze bogatszy Mamun. Ciebie widzimy tu po raz pierwszy. Od kiedy to jesteś sąsiadem naszego szlachetnego baja?

— Od dawna — odpowiedział Salim uprzejmie. I zaraz dodał: — Nie ma się z czego śmiać. Jeśli moja wioska sąsiaduje z waszą, to przecież znaczy, że i ja jestem waszym sąsiadem. Czyż nie tak, przyjaciele?

Grubasy znowu chwyciły się za brzuchy rycząc ze śmiechu.

— Cha, cha, cha! Powiedział, co wiedział. Takich odległych sąsiadów nasz pan ma więcej niźli kurcząt w kurniku, ba, więcej niźli mrówek w ogrodzie. Gdyby każdego z nich chciał zaprosić do siebie, nie wystarczyłoby miejsca przy stole dla ludzi naprawdę bogatych. Lepiej wynoś się stąd czym prędzej, chudy robaku, jeśli nie chcesz, abyśmy poszczuli cię psami, brytanami najbardziej złymi w całej okolicy.

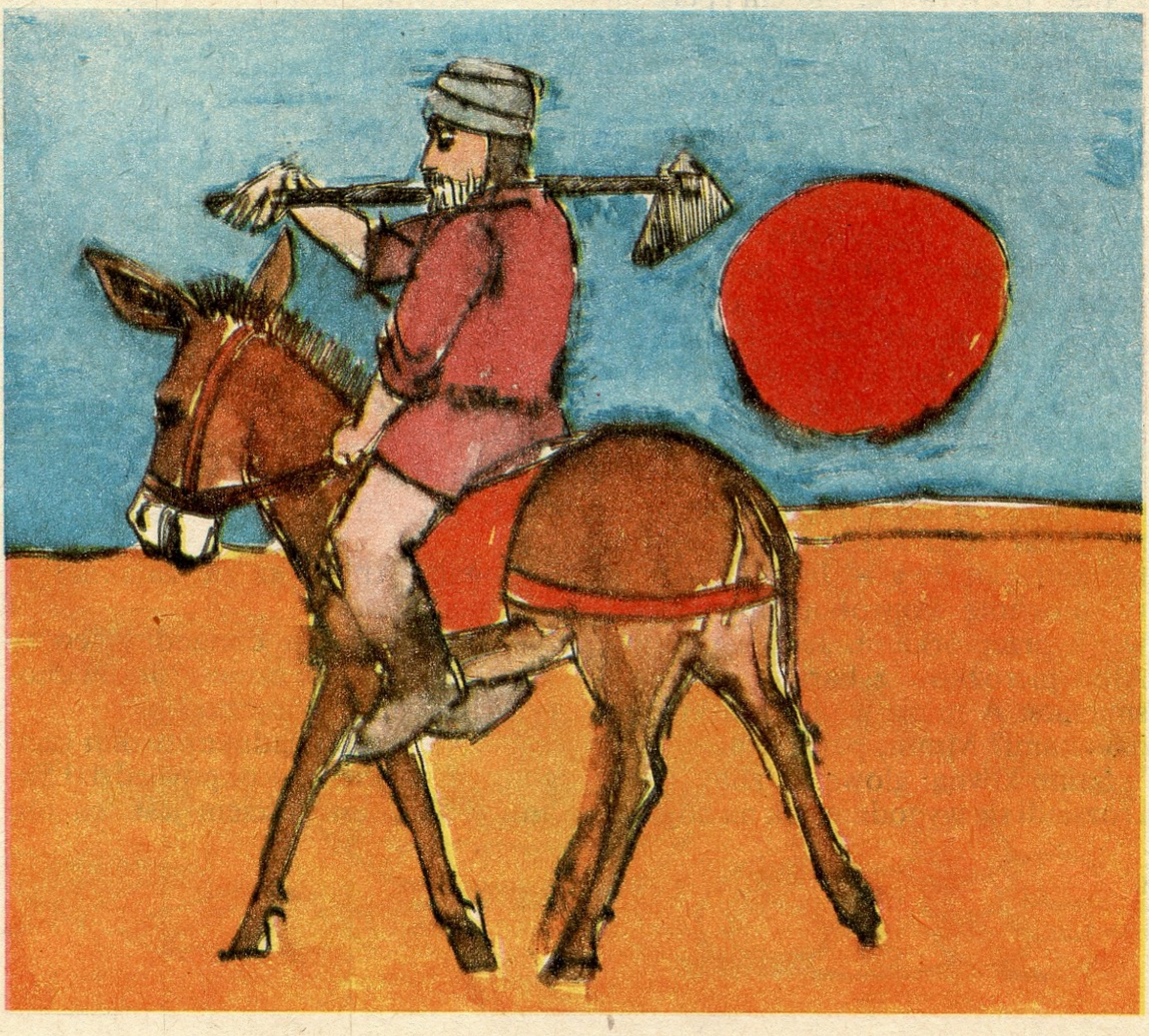

Salim bez słowa zawrócił osiołka.

Jednakże nie ujechał daleko. Pod glinianym murem ogrodzenia dostrzegł coś, co kazało mu zatrzymać kłapoucha i zleźć z jego grzbietu.

Na ziemi leżał atłasowy kaftan ozdobiony przepięknie złotym haftem i prawdziwymi perłami.

„Ależ to chałat samego Abbasa, bogacza zza muru. Skąd się tutaj wziął? Pewnie go oczyszczono i powieszono na gałęzi, aby wysechł — domyślił się Salim. — Silny podmuch wiatru zaś zerwał go i przerzucił na tę stronę. Grzechem byłoby nie skorzystać z okazji, jaką los mi zsyła. Ciekawe, jak tym razem zachowają się tamte dwa grubasy?"

Otrzepał kaftan z piasku, włożył na ramiona i starannie zapiął guziki ze szczerego złota. Czarną brodę wymazał gliną na rudo, by go w bramie nie rozpoznano, po czym dosiadł kłapoucha i pośpieszył z powrotem.

Widząc przybysza w atłasowych szatach przybranych złotem i perłami, pachołkowie momentalnie rozwarli wrota szeroko i zgięli się w niskim pokłonie. Nie śmieli podnieść wzroku na dostojnego gościa w przebogatym stroju.

Tuż za bramą podbiegło do Salima dwóch innych pachołków. Jeden pomógł mu zsiąść z osła i natychmiast odprowadził wierzchowca do stajni, gdzie w żłobach pełno było owsa i marchewki. Drugi, kłaniając się nieustannie bogatemu przybyszowi, poprowadził go do ogrodu, między gości i półmiski pachnącego jadła.

— Częstuj się, szlachetny panie — zapraszał sługa wskazując palcem na rozmaite potrawy. — Jedz, na co masz tylko ochotę. Popróbuj zupy grochowej z przepiórkami. Jest znakomita. Albo pierożków z baraniną. Są wyśmienite. A może wolisz kluski z rodzynkami? Mmm, palce lizać.

Salim kiwnął głową na znak zgody i rozsiadł się wygodnie, jak na bogacza przystało. Następnie wsadził atłasowy rękaw ze złotym haftem do talerza z zupą, pochylił się nieco i powiedział nie za głośno, ale i nie za cicho:

— Poczęstuj się, mój złoty chałacie. Zjedz sobie troszeczkę grochówki. Podobno jest bardzo smaczna.

Zaraz potem drugi rękaw wetknął w półmisek ze smażonym mięsiwem i znowu rzekł:

— Jedz, mój czcigodny chałacie. Jedz, ile tylko dusza zapragnie. Pieczona baranina godna jest książęcego podniebienia. Jedz zatem, nie krępuj się wcale. Po to przecież tu przyjechaliśmy.

Przedziwne zachowanie nieznajomego dostrzegł sługa i w te pędy pobiegł po gospodarza.

— Panie mój, w ogrodzie pośród wielu gości ucztuje również jakiś cudak! Albo jakiś półgłówek w złoconym kaftanie — wołał już z daleka. — Sam nic nie je, za to nieustannie karmi swoje ubranie.

— Karmi ubranie? — zdziwił się bogacz. — Niemożliwe, ośli ogonie! Z pewnością zasnąłeś na moment i przyśniło ci się to wszystko.

— Panie mój, przysięgam na brodę pradziadka, że nie zdrzemnąłem się ani na sekundę. Mówię prawdę. Najprawdziwszą z prawdziwych.

— Nie uwierzę, dopóki na własne oczy nie zobaczę tego dziwaka. Zaprowadź mnie do niego. Lecz biada ci, ośli ogonie, jeżeli coś pokręciłeś.

W ogrodzie okazało się, że sługa mówił prawdę. Dziwny gość sam niczego nawet nie skosztował, cały czas zajęty był karmieniem atłasowego kaftana.

Bogacz Abbas aż się zająknął ze zdumienia:

— Go... gościu czcigodny, co ty wyrabiasz? Źle się czujesz? Jesteś chory? Może masz gorączkę?

— Nie jestem żadnym twoim czcigodnym gościem — odpowiedział Salim. — Twoim gościem jest ten oto

atłasowy chałat. Ja mu tylko pomagam w jedzeniu.

— Jak to? — bogacz otworzył szeroko gębę ze zdziwienia, upodabniając się do dziuplowatej wierzby.

— A tak. W twoim domu nie liczy się zwykły człowiek. Nie liczy się jego szczere serce. Nie liczy się też i myśląca uczciwie głowa. Liczy się jedynie bogaty strój, najlepiej kapiący od złota i cennych klejnotów. No, a skoro strój jest tu najważniejszy, niechże on się ugaszcza do syta — odpowiedział spokojnie Salim i cały rękaw aż po łokieć wepchnął do smakowicie pachnącego kisielu z konfiturami, który akurat wniesiono na ogromnym półmisku i ustawiono pośrodku stołu.

— Kłamiesz — obruszył się bogacz Abbas. — Bo skąd ty to wszystko możesz wiedzieć?

— Doświadczyłem tego na własnej skórze. Kiedy pierwszy raz przybyłem do twojego domu w zwyczajnych szarych szatach, pachołkowie wygnali mnie precz. I jeszcze chcieli poszczuć złymi brytanami. Natomiast kiedy przyjechałem tu po raz drugi, w atłasowym chałacie haftowanym złotą nicią i klejnotami, kłaniali się do samej ziemi i od razu posadzili mnie przed półmiskami z jadłem. Z tego zaś prosty wniosek, że wśród bogaczy i dostojników pałacowych tak naprawdę liczy się nie człowiek, lecz ubranie, jakie nosi na grzbiecie.

Zdzisław Nowak

Rys. Krzysztof Demianiuk

NASZA MAMA

(fragment)

Kto się o nas tak troszczy,
najczulej patrzy na nas?
Kto od złych przygód strzeże?
Nasza kochana mama!

Uczyła pierwszych kroków,
pierwszych słów nas uczyła,
każdą łzę nam otarła
mamusia nasza miła.

Jak ci się odwdzięczymy
za wszystko, droga mamo?
Będziemy się starali
kochać ciebie tak samo.

Czesław Janczarski
Rys. Zbigniew Rychlicki

MAMA I JA

Kiedy mama ma czas,
otacza mnie ramionami.
Zamyka w nich świat,
wiosnę, wakacje, las,
wycieczkę i przygodę,
i lody malinowe.

Poza nami zostają
wszystkie smutki:
trója z klasówki,
zeszyt z oślimi rogami
i koleżanka,
która dzisiaj
nie chciała się ze mną bawić.

Mama pamięta
o mnie,
o tacie,
o starszym bracie,
o cieście w piecyku,
o podartym swetrze...
Mama stoi w kolejkach
i zawsze się do nas uśmiecha.

A ja myślę cichutko:
pomogę mamie.
Będzie miała więcej czasu.
Otoczy mnie ramionami.

Ewa Zawistowska

CZESŁAW JANCZARSKI

(1911—1971)

WIELKI, SKROMNY CZŁOWIEK

Czesława Janczarskiego poznałam w kwietniu 1970 roku podczas wizyty „na plebanii". Tak Janczarski nazywał małe i zaciszne, dwuizbowe ówczesne pomieszczenie redakcji „Misia". Powiedział wtedy żartobliwie, że już czternastą wiosnę — od 1957 r., tj. od powstania dwutygodnika „Miś" — sprawuje tu rządy nad duszyczkami i stara się nikogo nie skrzywdzić. Nie wiedziałam wówczas, że na swojej „plebanii" i mnie później miejsce wyznaczy. W atmosferze tych pokoików na Spasowskiego i w osobie ich gospodarza było coś takiego, że gdy ktoś raz ten próg przekroczył, to już musiał tam wracać. Jako studentka polonistyki przygotowywałam się wtedy do pisania pracy magisterskiej nt. „Czesław Janczarski — poeta codzienności". Odwiedzałam więc naczelnego redaktora „Misia" coraz częściej i tak się zaczęło. Rozmowy o poezji wiedzione na spacerach nad Wisłą, improwizowane spotkania autorskie w pracowni malarskiej przyjaciela poety — Juliusza Makowskiego.

Z tych osobistych kontaktów czerpałam dodatkową wiarę w ludzi, w potrzebę kontynuowania trudnej dziedziny pisarstwa, a mianowicie pisarstwa dla dzieci.

Czesław Janczarski zawsze był pełen pomysłów i twórczych planów. Często mówił o uwspółcześnianiu i unowocześnianiu kolejnych edycji „Misia". Zachęcał mnie do pracy w redakcji pisma dla dzieci. Jeździł do najdalszych nawet miejscowości w Polsce na spotkania z czytelnikami Jego utworów i Jego pisemka. Opisał takie spotkanie w jednym z wierszy:

— Witam serdecznie
moich miłych czytelników! —
Tak powiedział autor
i spojrzał na salę.
A na sali cichutko,
jakby nikogo
nie było tam wcale.
Dwieście par oczu
na autora patrzy i patrzy.

Dwieście serc uderza:
raz, dwa, trzy,
raz, dwa, trzy...

Dwieście par oczu dziwi się:
„Jeszcze wczoraj
myśleliśmy,
że autor ma srebrną brodę
i gwiazdkę u czoła.

A tu, spójrzcie,
zwyczajny człowiek". (...)

(„Spotkanie z autorem")

Podczas jednego z takich spotkań — w Siedlcach — niespodziewanie nastąpiło przesilenie śmiertelnej choroby. Po dwutygodniowych zmaganiach w walce o Jego życie, usłyszałam w komunikacie radiowym 19 maja 1971 roku, że Czesław Janczarski nie żyje. Odszedł w pełni sił twórczych, pozostawiając dzieło, które przez tyle lat tak ofiarnie prowadził. Opustoszała nagle „mała plebania"...

Od tego czasu upłynęło piętnaście lat. Nie wiem, dlaczego właśnie powraca do mnie nuta tego wiersza:

Zamiast poznawać prawdy i nieprawdy
zamiast stawiać kropki
po każdym zdaniu
wolę znak zapytania
którym jest obłok nad topolami
ciepły chłód pod mostem
biała gwiazda stokrotki
ukryta w trawach
których nikt nie zmyśla...

(„Na majowych rowerach")

A wiersz ten czytał Poeta na naszym ostatnim „wieczorze autorskim" w pracowni malarskiej swego przyjaciela.

Czesław Janczarski był poetą i Waszym serdecznym przyjacielem. Potrafił pisać o wszystkim, co Was otacza. O smutkach i radościach, o przygodach w domu, przedszkolu, na wakacjach, o zwykłych, szarych, dobrych dniach i o cieple rodzinnego domu. Kochał dzieci, jak ktoś najbliższy i dlatego wiedział, jak dla nich pisać. Zostawił Wam ponad siedemdziesiąt pięknych książek. Na pewno wiele z nich znacie i lubicie. Przypomnę tytuły tylko niektórych: „Przygody i wędrówki Misia Uszatka", „Jak Wojtek został strażakiem", „Gdzie mieszka bajeczka", „Najpiękniejsze bajki", „Czy wiesz, która godzina?", „O czym szumiały czereśnie", „Nasza ziemia i słońce". Książki te przetłumaczone zostały na wiele języków świata.

Pierwszy utwór dla dzieci napisał i opublikował w 1935 roku w czasopiśmie pt. „Słonko", redagowanym przez Janinę Porazińską. Od tej pory uprawiał równolegle oba rodzaje swojej twórczości — dla dzieci i dla dorosłych. Twórczość dla dzieci okazała się jednak dominująca w Jego pisarstwie. Dla dorosłych wydał siedem zbiorków poetyckich. Pisał w nich o radości i szczęściu, o „małych bytach roślin i drzew", o urodzie nizinnego, wiejskiego pejzażu. Ostatni z tych tomików poezji pt. „Portret z gałązek i ziół" podarował mi Czesław Janczarski na Gwiazdkę 1970 roku, dedykując „na zadatek przyjaźni". Nie podejrzewałam wtedy, że w pół roku później przyjaźń ta zostanie tragicznie przerwana przedwczesną śmiercią poety. On jednak chyba coś przeczuwał.

Wóz stanął jakby wbił się w osty
jaz zamknął nagle niebo deską
zsuwa się cmentarz zapomniany
pod piasek karłowatej sosny (...)

Porasta krzyżem mchów i pleśni
i nie zna nawet smaku soli
i gwiazda zgasła w oku dziecka
pod butem sosny piach szeleści

(„Ścieżka na Polesie")

Tak inaczej brzmią słowa tego wiersza, tak bardzo kontrastują z Jego wesołym usposobieniem.

Ilekroć będziecie czytali utwory Czesława Janczarskiego, to zawsze pamiętajcie, że napisał je człowiek o dużej wrażliwości, skromności i rzadko spotykanej dobroci.

Elżbieta Brzoza
Rys. Zbigniew Rychlicki

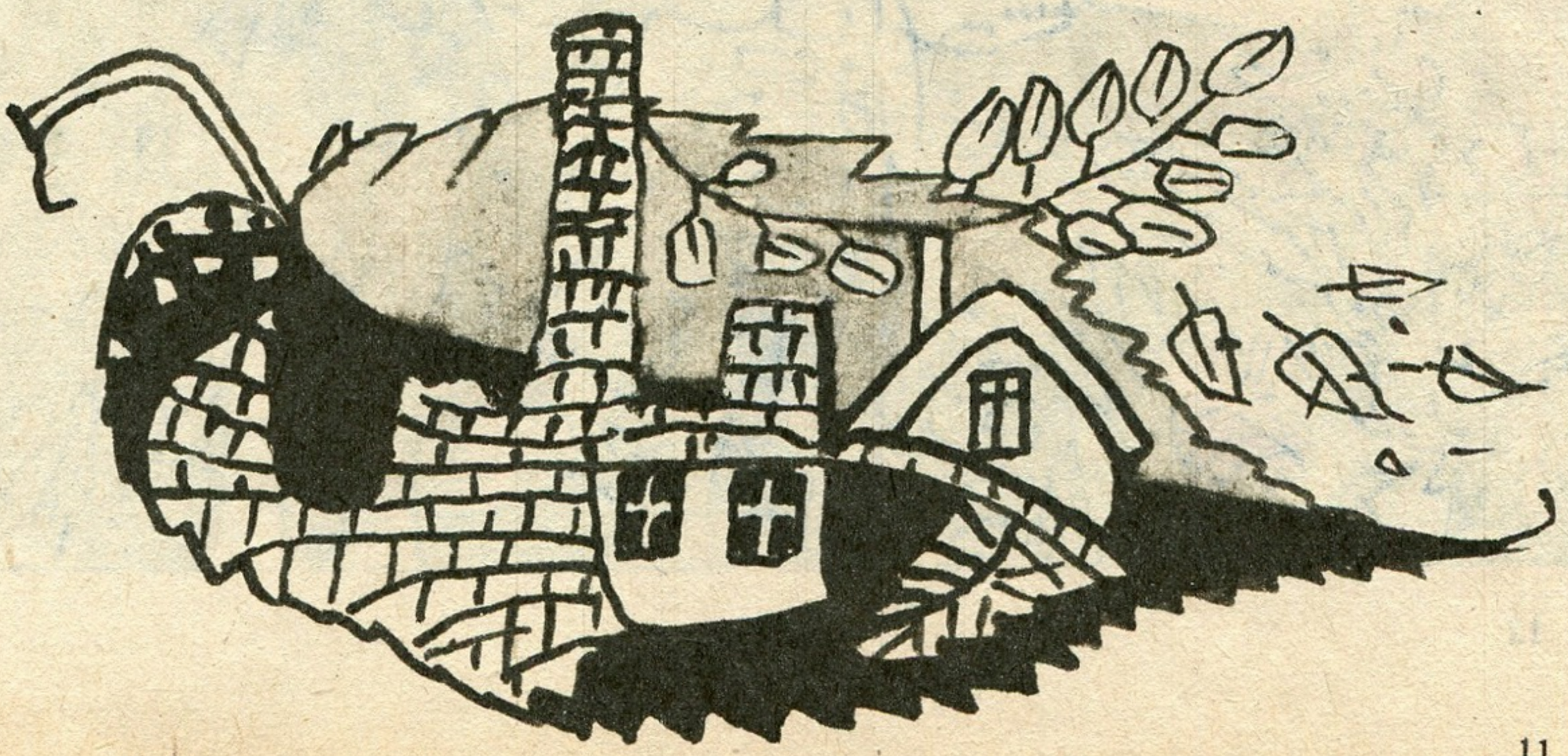

CO TO JEST POLSKA?

— Co to jest Polska? –
spytał Jaś w przedszkolu.
Polska — to wieś
i las,
i zboże w polu,

i szosa, którą pędzi
do miasta autobus,
i samolot, co leci
wysoko nad tobą.

Polska — to miasto,
strumień i rzeka,
i komin fabryczny,
co dymi z daleka,

a nawet obłoki,
gdy nad nami mkną.
Polska to jest także
twój rodzinny dom.

A przedszkole?
Tak — i przedszkole,
i róża w ogrodzie,
i książka na stole.

Czesław Janczarski
Rys. Zbigniew Rychlicki

KOLEKCJA MOTYLI

Motyle
sekundy leśnych popołudni
muśnięcie rannych sadów
tętno ciszy nocy

Zawieszone na nitkach świergotu jaskółek
Trzepoczące o szyby zasnute łzą dziecka

Motyle znów o łące
i o mostach burzy
które dudnią kołami
mijają nas w pędzie

Motyle chwil
dzielące i ziemię i nas
z twoich włosów motyle
z moich rąk motyle

Spadają z dzikiej róży
na cierpki sok zdarzeń
lub czerwonym zapachem truskawkowej grzędy
czasem na zamyślenia popękaną korę

To było tak niedawno
bo bliżej niż wczoraj

Czesław Janczarski

List do Przyjaciela

— Czy napisałeś już list do Jacka? — zapytała babcia.

— Dzisiaj napiszę.

— Słyszę to już od dość dawna.

Babcia miała rację. Już przeszło miesiąc temu rozstałem się z Jackiem. Ojciec dostał przeniesienie służbowe do innego miasta, musiałem się pożegnać ze starą szkołą, kumplami, a przede wszystkim właśnie z nim, moim najlepszym przyjacielem.

Obiecałem, że zaraz napiszę... I tak jakoś zeszło.

Ale dzisiaj napiszę już na pewno. Nie musi mi babcia przypominać.

Zaraz po obiedzie zasiadłem nad kartką papieru. Wybrałem sobie najlepszy długopis.

„Kochany Jacku!" — napisałem. I zamyśliłem się.

Co dalej? Nic mi jakoś nie przychodziło do głowy. Za to bardzo śmieszne wydało mi się, że piszę do mojego kolegi: „kochany".

Poszedłem do kuchni. Babcia smażyła naleśniki na kolację. Poczułem przyjemny zapach marmolady jabłkowej z cynamonem.

Odwróciła głowę w moją stronę, trzymając jedną ręką patelnię lekko uniesioną nad palnikiem kuchenki.

— Co się stało, kochanie? — zapytała.

— Powiedz mi, babciu, dlaczego ja muszę pisać do Jacka „kochany".

— Wcale nie musisz — powiedziała ze śmiechem. — Chociaż jest to przyjęta forma w korespondencji.

— No, tak. Ale w ten sposób mogę napisać do mamy, do taty, do ciebie, babciu...

— O! — uśmiechnęła się. — Byłoby mi bardzo miło, gdybym kiedyś dostała od ciebie list. Jak na razie to nawet kartki z wakacji mi nie przysłałeś.

— Wiesz, jak to jest, babciu. Na wakacjach po prostu nie ma się czasu na pisanie... Na pewno z tobą było tak samo. Przyznaj się, pisałaś z wakacji listy do rodziny...

— Pisałam — zapewniła żarliwie.

Potem zrzuciła przyrumieniony naleśnik na talerz i zabrała się do smażenia następnego.

— No, więc jak mam właściwie napisać?

— Napisz po prostu: „Jacku".

— Kiedy to brzmi okropnie sztucznie. Ja tak do niego nie mówię. Mówię po prostu: Jacek.

— Czy ty naprawdę nie masz innych zmartwień — powiedziała babcia i zaczęła smarować naleśniki marmoladą.

— Daj mi jednego — poprosiłem.

— Idź, pisać. A jak będą gotowe, sama ci przyniosę.

Ociągałem się trochę i babcia dodała:

— Chyba że ci się w ogóle nie chce pisać do przyjaciela...

Poczułem się trochę dotknięty i poszedłem do siebie.

Znów usiadłem nad pustą kartką.

Naszykowałem inny długopis do pisania.

„Co tam u Ciebie? Bo u mnie nic nowego".

I aż mnie zatkało, że napisałem coś podobnie głupiego. Bo jak to, u mnie nic nowego?! Wszystko nowe — od A do Zet. Nowi koledzy, nauczyciele, nowa dwója z matmy i piątka z polskiego, ślizgawka, na której wywróciłem się chyba z pięć razy, a ta niegodziwa Kryśka z rudymi warkoczami ryczała jak głupia.

Skreśliłem początek.

„Jak się czujesz?

Przypuszczam, że wszyscy po kolei są zdrowi" — napisałem i aż się sam roześmiałem.

Babcia weszła z porcją naleśników.

— Ojej! — zawołałem. — Aż tyle? Przecież ja pęknę!

— Nie pękniesz, nie pękniesz, o ile cię dobrze znam. Naleśniki lubisz. Domyśliłam się też, że jesteś w dobrym humorze. Aż w kuchni słychać, jak się śmiejesz. W porządku, list do kolegi powinien być wesoły.

Zasłoniłem na wszelki wypadek ręką moje wypociny.

Kiedy wyszła, zjadłem naleśniki, wybrałem następny długopis. I nagle przestałem myśleć o tym, że mam pisać list.

Zacząłem po prostu opowiadać Jackowi o wszystkim.

„Cześć, Jacek! Nie jest mi tutaj najlepiej, przykrzy mi się bez Was, a najbardziej bez Ciebie. Nie bardzo się mogę przyzwyczaić do nowej szkoły, nauczycieli, kumpli. Z psem mam tutaj daleko na spacery, tutaj na ulicach jest duży ruch i nie można go wypuszczać samego.

W szkole oberwałem już jedną lufę. Matematyk to okropny nudziarz i okropnie wymagający, też taki chudy jak nasz „Patyk". Tego nazywamy „Tyka", też dobre, nie? Nasz „Patyk" był jednak lepszy, nie sypał tak dwój jak z rękawa. Chłopaki są możliwe, ale dziewczyny straszne gaduły i chichoczą nie wiadomo dlaczego. A najgorsza jest Kryśka, ruda, z warkoczami. Siedzi za mną z taką drugą i całe lekcje coś do siebie szepczą, a potem ryczą jak wariatki. Chyba coś tam gadają na mój temat, i śmieją się, ale co mnie to może obchodzić? Ale kto by się tam przejmował dziewczynami! Takie same jak wszędzie! A co u Ciebie? Jak Ci leci w szkole? Czy masz już nowego przyjaciela? Bo ja nie, i bardzo bym chciał się z Tobą zobaczyć. Może w czasie wakacji coś wymyślimy? Napisz do mnie i pozdrów mamę, tatę i dziadka. Pojutrze mam klasówkę, ale Ty chyba nie zdążysz mi odpisać. Zanim list do Ciebie dojdzie... Zresztą może mi się uda! Będę czekał na Twój list. Pozdrawiam Cię. Michał."

Nawet nie przepisałem tego listu. Kiedy babcia weszła, żeby zabrać talerzyk, adresowałem już kopertę.

— No, widzisz? Jednak się udało.

— Czy ja wiem?

Wanda Osuchowska-Orłowska
Rys. Małgorzata Zachorowska

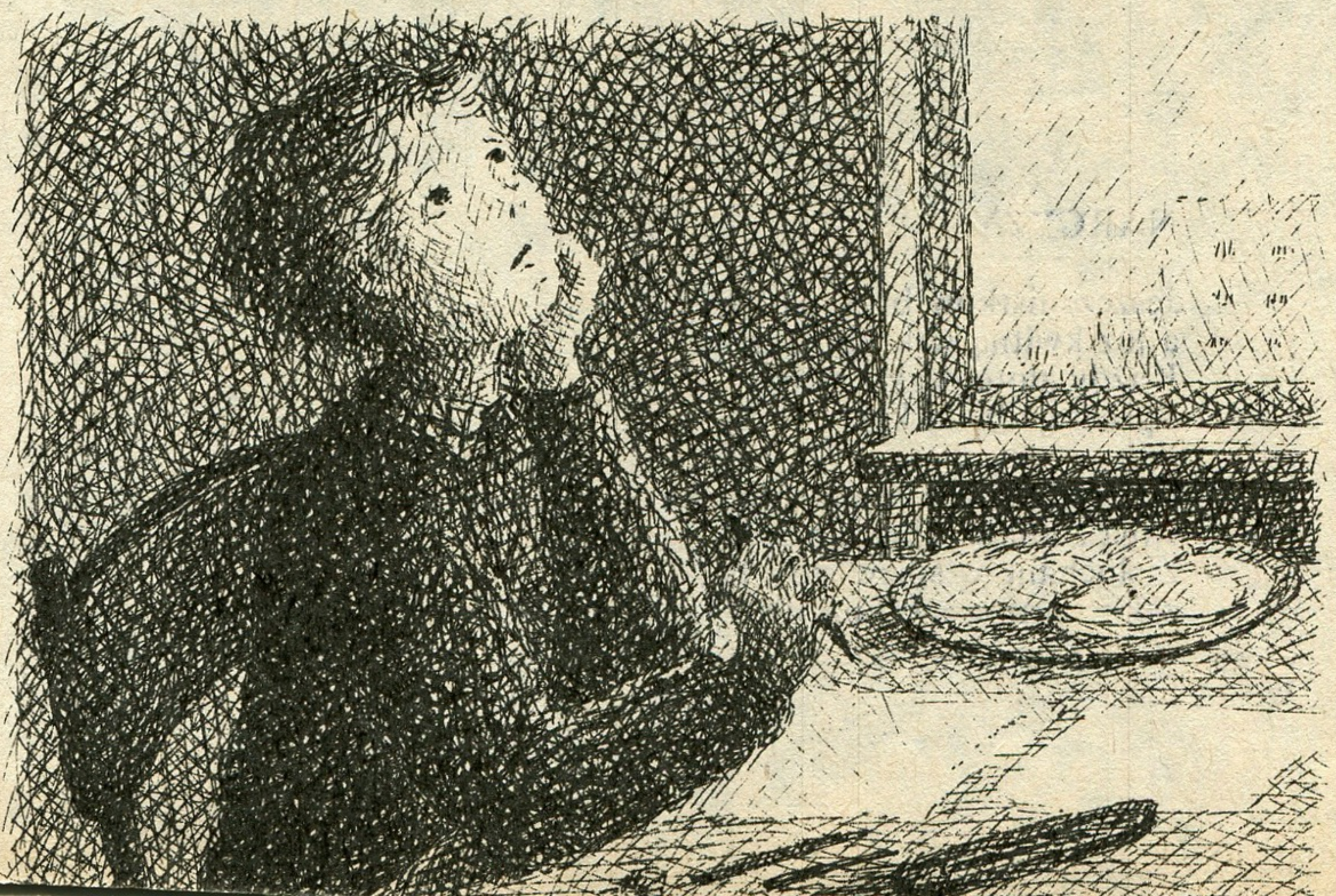

TULIPANY

Kolorowym przepychem
pokój się rozpłomienił —
czerwono-złote race
wystrzelają z zieleni.

To mama postawiła
na stole tulipany,
pełne tęczy po brzegi
jak kryształowe dzbany.

KONWALIE

Powiązał świt w supełki
srebrnej rosy perełki
jak koraliki szklane
na nitkach nanizane.

NARCYZY

Jeszcze listków brak na róży,
a już kwitną w krąg narcyzy.
Każdy złote oczko mruży
i prostuje białą kryzę.

Gromadkami wzdłuż trawnika
stoją smukłe, długonogie,
zasłuchane w śpiew słowika,
zakochane w swej urodzie.

BZY

Świt majowy nad wioską
śpiące chmurki malował,
jedne na śnieżnobiało,
drugie na fioletowo.

Pobudziły się chmurki
i całą wieś obsiadły —
jedne bzem fioletowym,
a drugie jak śnieg białym.

KACZEŃCE

Pogubiło słonko
promyki złocone
i od rana
za chmurami
kryje się zmartwione.

A promyki kwitną
kaczeńcem na łące.
Wytrzeszczają
żółte oczy,
czekają na słońce.

Apolinary Nosalski

Rys. Sabina Uścińska-Siwczuk

Tańczący słoń

Po słotnej niedzieli przyszedł pogodny poniedziałek. Świat wystroił się w barwy. Skrawek lasu po drugiej stronie jeziora wyglądał jak rzucony na taflę wody fioletowy pasek. Jezioro jeszcze się pieniło i słaby przybój mlaskał cicho podmywając rozkołysane trzciny, a w dali sunęły białe żagle. I rybitwy szybowały nad płyciznę.

— Brrr... ale zimna dziś woda — zawołała Zulejka, biegnąc wzdłuż brzegu. Spod jej nóg tryskały srebrzyste bryzgi.

Bartek podkasał dżinsy. Kroczył wolno za dziewczyną.

— Poczekamy do południa. Może się ogrzeje.

— Czekaj tatka latka... Mówię ci, tak się strasznie nudzę, że... — dodała wychodząc na piaszczystą łachę.

— Zulejka, przecież dopiero wczoraj skończyliśmy robotę.

— Skończyliśmy... skończyliśmy... Nawet nie wiesz dokładnie kto jest kto, co kto od kogo i z czym?

— Nie bądź niecierpliwa. Dowiemy się...

— Ja nie... bo nie mam ochoty błagać o informacje, które nam się należą. Pamiętasz, jak nas potraktował ten cały Krzywonos.

— Czego chcesz od niego? Przecież pogratulował nam.

— Może tobie to wystarczy, ale mnie nie. Potem w ogóle nie chciał ze mną gadać.

— Zrozum, Zulejko, że on nie miał czasu. Musiał przesłuchać wszystkich...

— Kogo? Ludzie mówią, że wszyscy im zwiali.

— Co ty pleciesz. Jacy ludzie?

— Dzisiaj rano posłał mnie ojciec do samu po chleb. Żebyś wiedział, czego się tam nasłuchałam.

— To plotki. Na własne oczy widziałem, jak przez Żeromskiego jakiś tajniak prowadził atłasowego Tola i Mortadelę.

— A w sklepie mówili, że oni uciekli za granicę.

Bartek z politowaniem pokiwał głową.

— A ty wszystko kupujesz, jak leci.

Dziewczyna urwała źdźbło trawy. Gryzła je chwilę w zamyśleniu.

— Bo ja już nie wiem, co o tym myśleć.

Bartek z zakłopotaniem tarł czoło.

— Pójdziemy do Fajczarza, to nam wszystko opowie.

— Ho... ho... już idę. Nie wiesz nawet, jak ci literaci umieją fantazjować. — Zrobiła taki ruch palcem, jakby chciała przewiercić sobie na czole czaszkę. — Nie ma naiwnych. Jeszcze by nas wyśmiał...

— To ja pójdę do Krzywonosa.

— Do tego gliny. On ci powie, że milicja nie jest upoważniona do informowania.

— Informowania?... — Bartek zastanowił się. — Czekaj — uderzył się dłonią w czoło — mam świetny pomysł. Słyszałem kiedyś w domu, jak ojciec mówił mamie, że premier zarządził, by wszyscy urzędnicy obowiązkowo udzielali informacji dziennikarzom.

— Ty przecież nie jesteś dziennikarzem — rzuciła uszczypliwie.

— Ale mogę nim być.

— Za sto lat albo i później.

— Nie. Teraz. — Chwycił ją mocno za rękę. — Słuchaj, załóżmy gazetkę.

— Gazetkę?... Wykluczone.

— Będziesz redaktorem naczelnym.

— A ty? — Spojrzała już przychylniej.

— Ja oczywiście twoim zastępcą.

— A kto będzie sekretarzem redakcji?

— Możesz być jednocześnie naczelnym i sekretarzem.

— A kto będzie drukował?

— Nie martw się teraz o takie drobiazgi.

Zulejka wypluła źdźbło.

— A właściwie po co nam ta gazeta?

— Po to, żeby przeprowadzić wywiady z Fajczarzem, Krzywonosem... no, kapujesz. Oni nie mogą odmówić redaktorom.

— Wiesz — zmrużyła lekko oczy — to mi się zaczyna podobać. — Uderzyła pięścią

w dłoń. — To na co czekamy? Ja idę do Fajczarza, a ty... Ty wal do kapitana. — Powiedziawszy to, ruszyła biegiem.

— Zaczekaj — zatrzymał ją zastępca redaktora naczelnego. — Przecie nie mamy nawet nazwy gazetki. Co powiesz, jak cię spytają, z jakiego jesteś pisma?

— Powiem, że jestem z prasy.

— Ale z jakiej?

— Młodzieżowej.

— Zrozum: każda gazeta musi mieć tytuł.

— To niech będzie „Tańczący Słoń".

— Może „Ziewający Hipopotam".

— A co? Niedobrze?

— Wyobraź sobie, przyjdziesz do Fajczarza i powiesz: „Jestem reporterką z „Tańczącego Słonia".

— Masz rację... To jakoś nie tak...

— Może... „Echo Młodzieży".

Zulejka zachichotała.

— Nie klapuje, bo musiałbyś dwa razy pisać to samo; raz to, co powiesz, a drugi, co odbije echo.

— Dowcipna — żachnął się. — Już wiem. „Głos Młodzieży".

Zulejka spojrzała z niedowierzaniem.

— Głos?... Młodzieży? — Przecięła ręką powietrze. — Niech już tak będzie. To cześć. — Skinęła mu głową. — Walę do Fajczarza, potem do babci Żednickiej. A ty bierzesz na siebie kapitana.

***

Biegła przez łąkę pełną złotych jaskrów, fioletowych dzwonków i białych złocieni. Nad łąką unosił się zapach ledwo widocznego oparu. Światło odbijało się w nim tęczowo i zdawało się płynąć przez wysokie trawy.

Kiedy dobiegła do domu, w głębi ogrodu ujrzała leżak, a na nim szanownego Fajczarza, czyli pana literata Bartkowskiego. Pykał leniwie z fajki. Błękitne kłębuszki dymu uciekały z wiatrem i rozpływały się w czystym i rześkim powietrzu.

— Dzień dobry panu — przywitała Fajczarza, zbliżając się wolno do leżaka.

Fajczarz uniósł głowę znad książki.

— A... To ty? Jak to miło przywitać bohaterkę wczorajszego dnia.

Zulejka wydęła lekko wargi.

— Znowu pan zaczyna kpić sobie ze mnie i bimbać.

— Przeciwnie, jestem pełen uznania dla

waszej detektywistycznej spółki. A gdzie sierżant? — zapytał udając powagę.

— Już nie jesteśmy detektywami.

— Szkoda... — westchnął. — Znając was, sądzę, że teraz zmieniliście zawód i upodobania.

— Zgadł pan. Założyliśmy gazetkę i jesteśmy redaktorami.

— Pięknie! — zawołał niemal z entuzjazmem. — Mam nadzieję, że zaprosicie mnie do współpracy.

— Bardzo chętnie, bo nie mamy jeszcze reportażu o dudkach i lelku kozodoju.

— Przyrzekam, że napiszę coś o sójce-Zulejce.

Pani redaktor odęła się.

— Jestem korespondentem naszego pisma „Głos Młodzieży", więc proszę mnie traktować poważnie.

Pan Bartkowski wyjął na chwilę fajkę z zębów i spod przymrużonych powiek spojrzał przyjaźnie na panią redaktor.

— Postaram się potraktować ten wywiad najpoważniej w świecie. Proszę tylko nie rozśmieszaj mnie swą grobową miną. Spróbuj poprowadzić tę rozmowę z humorem.

— Nie omieszkam — rzuciła kpiąco. — Tylko proszę się nie gniewać, jeśli wyjdzie pan trochę komicznie.

— Dobrze. Zaczynamy.

Zulejka wyciągnęła z torby zeszyt. Zajrzała doń jak do ściągawki.

— Więc... — zaczęła niepewnie — dlaczego pan zakopał na wyspie tę nieszczęsną figurkę?

— Haaaa... — Zamyślił się. — Czy pisałaś kiedyś scenariusz serialu telewizyjnego?

— Ja?... Skądże.

— No, właśnie — podjął wesoło — a ja mam już pięć na sumieniu. Szósty chciałbym napisać na podstawie prawdziwych zdarzeń.

— To się mówi z autopsji.

— Tak, z autopsji.

— Ale co to ma wspólnego z tańczącym słoniem?

— Przyjechałem tutaj, żeby zebrać materiał.

— A my mieliśmy służyć jako doświadczalne króliki?

— To za mocno powiedziane. Przyglądałem się waszym zabawom. Muszę cię zmartwić — nie pobudzaliście zbyt silnie mojej wyobraźni. Zwłaszcza, gdy zaczęliście bawić się w Indian.

— Rozumiem pana, to zbyt naiwne.

— Nie. Tylko już napisałem na ten temat książkę i scenariusz...

— Znam — przerwała mu Zulejka. — Książki nie czytałam, a scenariusz... Ten serial „Kowboj z Montany" był zupełnie udany.

Pisarz uśmiechnął się dobrodusznie.

— Dziękuję za uznanie. Więc... co ja to mówiłem?

— Że przyglądał się pan naszym zabawom.

— O, właśnie... I doszedłem do wniosku, że w jakiś sposób muszę was pobudzić do działania... Proszę cię, nie przerywaj... Zaraz ci to wytłumaczę. Jak wiesz, jestem wysportowany, więc codziennie rano biegam.

— Z panią Żednicką — dodała.

— Nie, moja panno, biegałem sam. Dopiero po kilku dniach spotkałem panią Żednicką. — Znałem ją z wydawnictwa „Kłos", więc wszczęliśmy rozmowę. I zapewne zdziwisz się bardzo — to właśnie ona podsunęła mi tę genialną myśl, by zakopując figurkę...

— Dlaczego właśnie tę figurkę? — przerwała mu w pół słowa.

— Poznałem historię tańczącego słonia. Pani Żednicka opowiedziała mi ją jeszcze w Warszawie. Pomyślałem, że gdy ktoś z was nakryje mnie przy zakopywaniu tej figurki, zacznie się dziać coś ciekawego. I nie myliłem się.

Zulejka przechyliła kokieteryjnie głowę.

— Coś tu nie klapuje... Dlaczego pan wybrał właśnie mnie?

— Moja droga, nie gniewaj się, ale ty z nich wszystkich najbardziej rozrabiałaś i muszę przyznać, że miałaś najwięcej fantazji. Po klęsce, jaką wasz szczep poniósł na wyspie, byłem pewny, że postaracie się odebrać przeciwnikom ich szczepowy totem. Popłynąłem rano na wyspę i — jak sama wiesz — nie myliłem się.

Dziewczyna zmarszczyła zabawnie nosek.

— To pan z zimną krwią wystawił mnie tak do wiatru?

— Wybacz, lecz nie przypuszczałem, że cała akcja rozwinie się tak bujnie, ba, można powiedzieć awanturniczo. Gdybym chciał się zrewanżować, to pytam: kto odsądził mnie od czci i wiary i zrobił ze mnie wrednego szefa szpiegowskiej szajki? Kto?

Zulejka pokiwała znacząco głową.

— Zasłużył pan sobie na to... — Zapisała coś w notesie, a gdy skończyła, odgarnęła z czoła sypiące się włosy. — Tańczący słoń... — szepnęła zamyślona. — Czy może mi pan powiedzieć, którą figurkę zakopał pan pod sosną?

— Jak to — którą? Tę oryginalną, od pani Żednickiej. A czy były wtedy jeszcze jakieś inne?

Pani redaktor uśmiechnęła się kpiąco.

— Wtedy nie, ale pod koniec było ich zatrzęsienie, jakby się rozmnożyły.

— Ach, tak. Podobno wytwarzał je pewien mieszkaniec tej osady. Lecz, jeżeli chodzi o tę, którą zakopałem, pochodziła z Budapesztu.

— To w jaki sposób pan kapitan Sumarski miał drugą figurkę, zupełnie podobną do tej oryginalnej?

— Moja droga, nic o tym nie wiem. Możesz

przecie zapytać o to Krzywonosa — dodał mrużąc filuternie oko.

— O, właśnie — podjęła niecierpliwie. — Może mi pan wyjaśni, jak to było z tym Krzywonosem.

— Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to oficer milicji. Domyślałem się jedynie, że czegoś szuka, gdyż zbyt gorliwie zbierał wszelkie informacje o miejscowości i ludziach. W dniu, w którym wyprawialiście się moją łódką na wyspę, spotkaliśmy się jak zwykle przy obiedzie. Kapitan był dziwnie podniecony. Ni stąd, ni zowąd wyciągnął z zanadrza nieszczęsnego słonia i położył go przede mną na stole. Widocznie chciał się pochwalić zdobyczą, lecz mina mu nieco zrzedła, gdy się dowiedział ode mnie, czemu miała służyć figurka. Zaczął mnie szczegółowo wypytywać o nią: a skąd, a gdzie, a jak? A gdy wspomniałem o was, dał mi do zrozumienia, żebym was nie wciągał w sprawę słonia. Byłem ogromnie zaskoczony, a rola magistra ekonomii w tej niecodziennej sprawie wydała mi się dziwna, ba, nawet podejrzana.

Zulejka zatarła z przejęcia dłonie.

— To piekielnie ciekawe... ale czy mógłby mi pan powtórzyć dokładnie, co on wtedy o nas powiedział?

— Dokładnie! — żachnął się. — Masz za duże wymagania, lecz o ile mnie pamięć nie zawodzi, powiedział coś w tym rodzaju: „Jeżeli się nie mylę, to oni — to znaczy oczywiście wy — bawią się w detektywów. Lepiej jednak byłoby, gdyby tego zaniechali, gdyż to może być niebezpieczne".

— No jasne — zachichotała Zulejka. — Nie wiedział, z kim ma do czynienia.

— O, właśnie — wykrzyknął pisarz — tego i my, to znaczy ja z panią Żednicką, nie mogliśmy przewidzieć. Muszę przyznać, że dobrze daliście się nam we znaki.

— I zaleźli za skórę — dodała z przekąsem. — Ale skąd tego samego dnia wieczorem figurka znalazła się znowu u pani Żednickiej?

— Po prostu kapitan oddał mi ją, a ja odniosłem pani Dorocie.

Zulejka odłożyła na chwilę notes. Sącząc smakowity sok, zapytała:

— Pan chyba wiedział, co jest w środku figurki.

— Ależ skąd! Nie wiedziałem ani ja, ani pani Żednicka. To dopiero ty, rozbijając figurkę, wyzwoliłaś mnóstwo domysłów i podejrzeń. Jeśli pozwolisz, to ja ci zadam pytanie. Czy celowo stłukłaś?...

— Oczywiście — przerwała mu Zula. —

Pan chyba wie, że dziewczęta są bardzo wścibskie.

— Oj, są... są... A do tego, delikatnie mówiąc, zuchwałe. Bo jak można określić twoją wizytę w moim mieszkaniu, kiedy...

— A co miałam robić — wpadła mu w słowo... — kiedy byłam pewna, że pan jest szefem siatki szpiegowskiej?

Pan Bartkowski roześmiał się.

— Czy ja na takiego wyglądam?

— Wygląd o niczym nie świadczy. Czytałam, że szefem wywiadu aliantów podczas drugiej wojny był skromny nauczyciel szwajcarski.

— Zgadzam się — potwierdził. — Może nalać ci jeszcze trochę tego soku?

— Pyszny, ale dziękuję.

— No tak... — pan Bartkowski wyciągnął się wygodnie na leżaku — w piękne mnie wystroiłaś piórka. Ja... szefem wywiadu... To mi się nawet podoba. I domyślam się, co ci podsunęło to przypuszczenie. Szyfry schowane w figurce.

— O właśnie — podjęła Zulejka. — Wszystko układało się jak w szpiegowskim filmie. Jest tajemniczy pan z fajką. Zakopuje tajemniczą figurkę, a potem... A właściwie, proszę mi powiedzieć tak szczerze: czy to zamiłowanie do ptaków miało służyć do ćmienia nam oczu?

— Ależ skąd! — zaprotestował porywczo. — Zajmuję się ornitologią od dawna. I nawet wtedy, kiedy wyratowałem cię z opresji w piwnicy starego domu, byłem tam, bo szukałem gniazda puszczyków. Sowy chętnie gnieżdżą się w takich opuszczonych domach.

Adam Bahdaj
(Ciąg dalszy nastąpi)
Rys. Jerzy Flisak

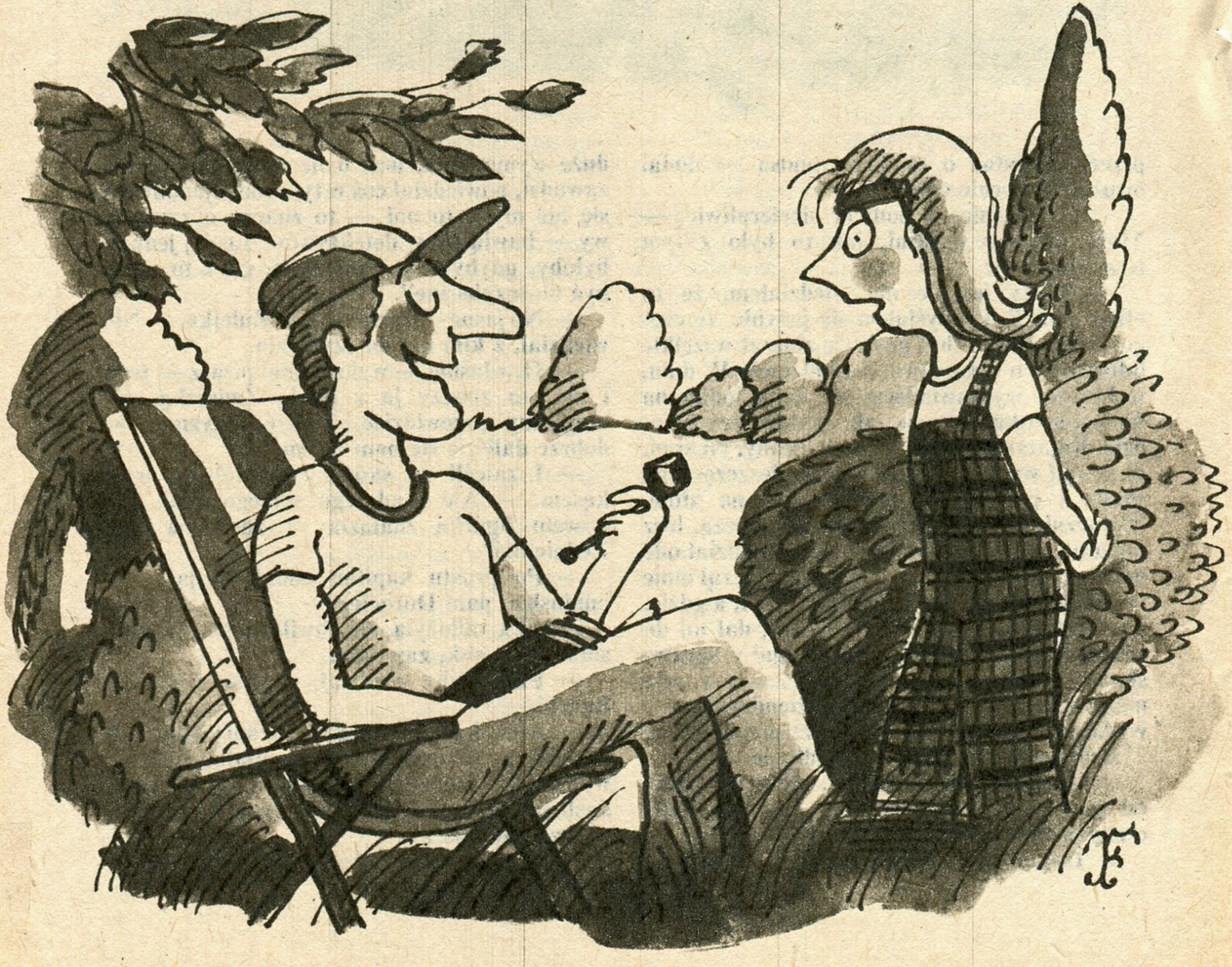

W stałym płomyczkowym konkursie „MOJE NAJCIEKAWSZE" zachęcamy Was do opisania ciekawych spraw, wydarzeń, osób. Właśnie w tym numerze „Płomyczka" drukujemy listy na temat interesujących ludzi, ich pracy i zainteresowań.

Joasia Drąg z Warszawy napisała:

„Za moje najciekawsze uważam pracę mojej mamy, która jest filmowym kostiumologiem, czyli zajmuje się obmyślaniem strojów dla aktorów i ubieraniem ich w czasie kręcenia filmu.

Realizowanie filmu to bardzo trudna praca i trwa wiele miesięcy. Pracuje przy tym mnóstwo osób, np. mama dobiera dla aktorów stroje odpowiednie do granej przez nich roli. Pani charakteryzatorka maluje aktorów, czesze, a czasami dokleja im wąsy i brody. Scenograf, dekorator i rekwizytor wybierają miejsca, w których nakręcane są poszczególne sceny filmu. Te sceny zostają nagrane przy odpowiednim oświetleniu, aby wszystko wyraźnie widać było na ekranie kina. Potem taśmę filmową z nagranymi scenami i taśmę magnetofonową z nagranym dźwiękiem montuje się, czyli odpowiednio przycina i klei tak, aby powstała całość, którą można obejrzeć w kinie lub w telewizorze.

Mama opowiadała mi, że przy powstaniu filmu pracuje wiele osób, których nie widać na ekranie. Praca ich wszystkich jest trudna i odpowiedzialna. Zdarza się, że mama wraca późno do domu, bo długo pracuje. Ale po powrocie opowiada ciekawe zdarzenia z planu filmowego. Najzabawniejsze było to, gdy robiono sztuczny deszcz. Wynajęto wtedy strażacki wóz. Z jego dachu strażak polewał miejsce przed aktorem tak, aby go za bardzo nie zmoczyć, gdyż tego dnia był duży mróz. Potem pani charakteryzatorka posmarowała włosy aktora specjalną galaretką, żeby wydawały się mokre.

Uważam, że moja mama ma niezwykle ciekawą pracę".

Radosław Słonina z Gdyni jest autorem drugiego listu:

„W przyszłości chciałbym zajmować się podwodnym światem. Zainteresowałem się nim wtedy, gdy oglądałem filmy na ten temat, nakręcone przez mojego wujka, który jest płetwonurkiem. On również pokazał mi strój płetwonurka. Często wspólnie z wujkiem oglądam filmy, które sam nakręcił pod wodą.

Nawet nie przypuszczałem, że praca płetwonurka może być tak niebezpieczna, ale widocznie spotkanie z przyrodą jest silniejsze od strachu".

Joasia Adamczyk z Gdyni napisała:

„Najbardziej fascynują mnie komputery i ludzie, którzy potrafią je obsługiwać. Komputery już dziś wkraczają do naszego życia przez gry i zabawy komputerowe. Te gry wyrabiają w nas refleks, logiczne myślenie i wyobraźnię. Bardzo lubię bawić się komputerem i chciałabym, żeby trafiły one do wszystkich szkół".

Autorzy wydrukowanych listów otrzymają nagrody książkowe. Książki wysyłamy pocztą.

Czekamy na Wasze kolejne wypowiedzi o ludziach, sprawach, wydarzeniach. Listy przysyłajcie pod adresem: Redakcja „Płomyczka", 00—950 Warszawa, skr. poczt. 380, z dopiskiem na kopercie „MOJE NAJCIEKAWSZE".

SPECJALNIE DLA „PŁOMYCZKA"

Z NORWEGII

ŚWIĘTO RADOŚCI

Norwegia — w tłumaczeniu na język polski znaczy — „droga na północ" lub „północna droga". Jest to piękny kraj gór, lasów, fiordów, ciekawych zabytków i sympatycznych ludzi.

Ubóstwo ziemi uprawnej, pól, łąk natura wynagrodziła Norwegom malowniczością krajobrazu i zjawiskami, jakich nie spotyka się w innych rejonach świata. Są to przede wszystkim białe noce, w czasie których jest tak jasno, że o północy można czytać gazetę. Do niezwykłych zjawisk występujących na północy Norwegii należy zorza polarna. Różnobarwne świecenie nieba pojawia się nagle i przybiera przedziwne kształty (ognistych słupów, łuków, draperii). Ponadto w tych rejonach kraju niebo zabarwione jest wszystkimi odcieniami czerwieni i fioletu.

Norwegowie bardzo cenią sobie życie rodzinne i wszystkie święta spędzają spokojnie w domu, z wyjątkiem jednego. Jest nim 17 maja — najważniejsze święto Norwegii — Dzień Konstytucji, święto narodowe. Norwegowie obchodzą go w dość niezwykły sposób. Głównymi bohaterami uroczystości są dzieci i młodzież.

Przygotowania rozpoczynają się zwykle parę tygodni wcześniej. We wszystkich norweskich domach odbywa się powszechne szycie kostiumów i przygotowywanie strojów ludowych.

Rankiem tego dnia w każdym norweskim miasteczku i wiosce, przed bramami szkół, zbierają się dzieci i młodzież ze szkół średnich, tworząc długą kolumnę. Na czele pochodu ustawia się zawsze szkolna orkiestra. Uczestnicy marszu idą powoli, śpiewają, tańczą, skandują hasła i wymachują chorągiewkami o norweskich barwach narodowych (czerwonej, białej i ciemnoniebieskiej). Pochód kieruje się pod siedzibę miejscowych władz, pod ratusz, a także do miejscowego domu starców, gdzie delegacje dzieci składają seniorom życzenia i wręczają wiązanki kwiatów.

W Oslo, stolicy Norwegii, pochód ten jest szczególnie okazały. Biorą w nim udział uczniowie ze wszystkich szkół, a trasa wiedzie centralną ulicą pod pałac królewski. Defilujący

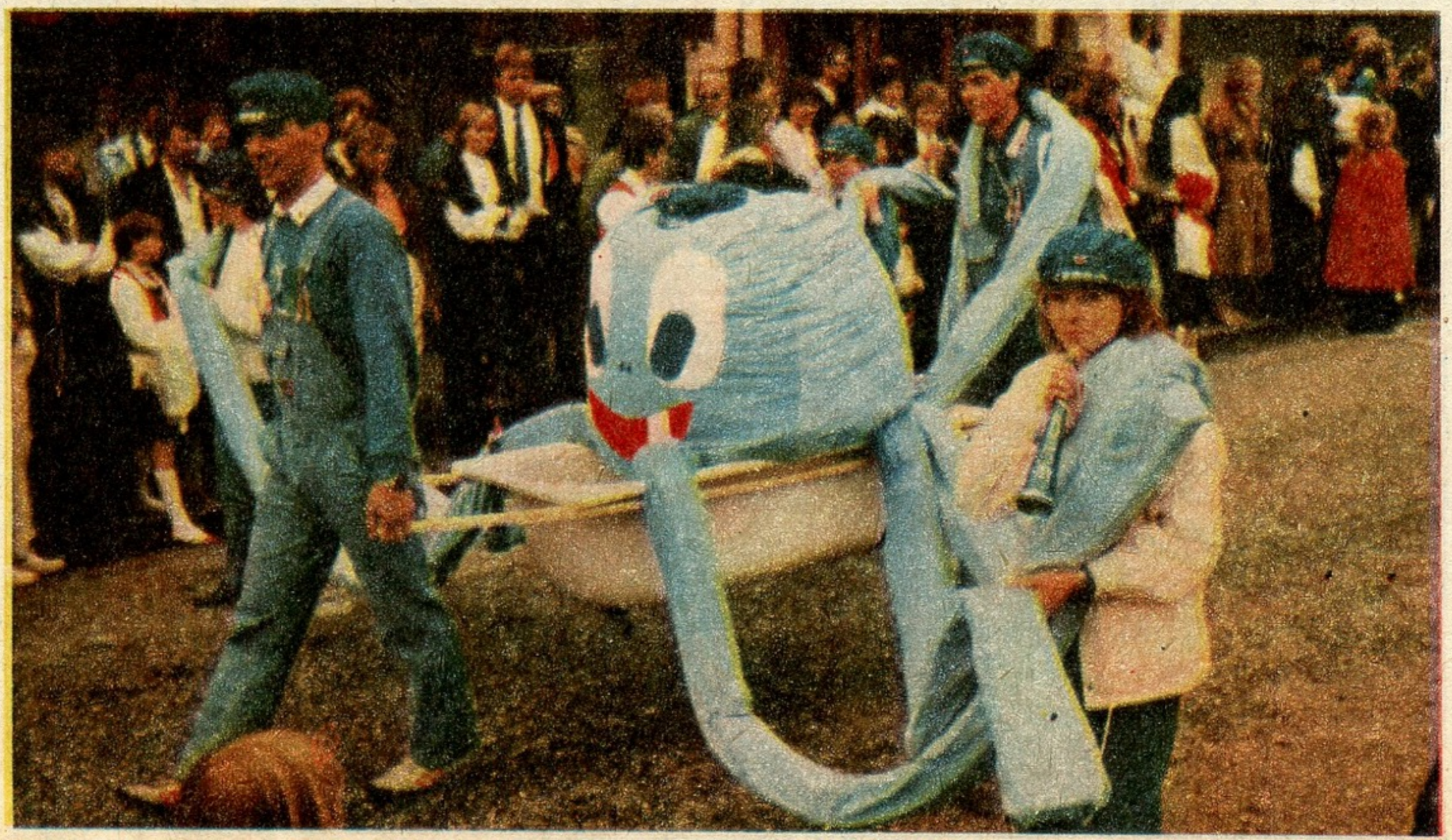

witają króla okrzykami „Cześć, Olaf!", a starszy pan odpowiada im uśmiechem i skinieniem ręki. Wśród wielotysięcznego tłumu wyróżniają się uczniowie klas maturalnych odziani w czerwone lub niebieskie czapki i takież kombinezony, z przyszytymi na plecach emblematami szkół.

Będąc w Norwegii miałam okazję uczestniczenia w tym święcie. Mieszkałam w niedużym miasteczku — Haugesund. I tu majowa uroczystość była wspaniała. Od rana czuło się atmosferę radości i niepokoju. Najmłodsi mieszkańcy byli bardzo przejęci swoją rolą, przecież oni organizowali tę manifestację.

W godzinach porannych uczniowie ubrani w przepiękne, ludowe stroje, przemaszerowali przez ulice miasteczka przy dźwiękach orkiestr szkolnych. Dzieci, które bezpośrednio nie uczestniczyły w defiladzie, tzn. nie chodzące jeszcze do szkoły, otrzymywały od swych starszych kolegów cukierki, balony, plakietki.

Po tej oficjalnej uroczystości odbyła się prywatna jej część. Wszyscy rozeszli się do domów, gdzie w gronie rodzinnym, przy odświętnie nakrytym stole, zasiedli do wspólnego obiadu. Główną ozdobą każdego stołu w tym dniu były świece z kwiatami o barwach narodowych i serwetki w tych samych kolorach. Obowiązkowo musiał być „wielopiętrowy" tort z wetkniętymi weń maleńkimi flagami norweskimi.

Po południu odbyła się ostatnia część uroczystości. Wesoła zabawa — pochód przebierańców. Można było zobaczyć np. psa przebranego za sportowca, 6-metrową stonogę, płetwonurka w wannie, „pechowego" narciarza całego w gipsie i „wyrośniętego" dzidziusia, który nie mieścił się w wózku. Maturzyści urządzili rajd starych samochodów, pomalowanych na jaskrawe kolory i przepełnionych młodzieżą. Z przeraźliwym wyciem klaksonów jeździli po ulicach miasteczka. Nikt z dorosłych nie gorszył się tymi szaleństwami, lecz przeciwnie — wszyscy bawili się wspaniale.

Tekst i zdjęcia Ewa Borowiecka-Maciaszczyk

PRZED MISTRZOSTWAMI ŚWIATA

„FIFA World Cup"

Zbliżają się Mistrzostwa Świata w piłce nożnej. Wielu z Was czeka z niecierpliwością, by obejrzeć to wspaniałe widowisko sportowe. Zanim jednak rozpoczną się emocje na stadionach w Meksyku, spróbujmy odpowiedzieć sobie na pytania: Skąd wzięła się gra w piłkę nożną? Kiedy i gdzie po raz pierwszy zorganizowano Mistrzostwa Świata w piłce nożnej?

Piłka nożna, jak twierdzą jej zagorzali kibice i wielbiciele, jest stara... jak świat. Badania dziejów ludzkości wykazały, że na wiele lat przed naszą erą w Chinach, w 2697 roku, żołnierze grali w tsuh-kun (co znaczy: kopać piłkę nogą). Odkrycia archeologiczne w dolinie Nilu i malowidła w Beni Hassan świadczą o tym, że w Egipcie znane były zabawy z piłką. Grano w nią w starożytnej Grecji, Japonii i Mongolii.

Przejdźmy jednak do czasów nam bliższych. Wszyscy znawcy przedmiotu zgodnie przyznają, że kolebką współczesnej piłki nożnej jest Anglia. Nazwa „futbol" pojawiła się po raz pierwszy w Anglii w 1486 roku. Do rozwoju futbolu w Wielkiej Brytanii przyczyniła się przede wszystkim młodzież szkolna. Pierwsza drużyna sportowa powstała w szkole w Aldenham. Podstawę dzisiejszych przepisów utworzyli studenci z Uniwersy-

Wspaniała jedenastka. Stoją od lewej: Komornicki, Matysik, Dziekanowski, Żmuda, Wójcicki, Młynarczyk. Na dole od lewej: Ostrowski, Buncol, Boniek, Smolarek i Pawlak.

Fot. M. Świderski

←

tetu w Cambridge oraz przedstawiciele szkół w Etou, Harrar, Winchester, Shrewsbury, Rugby. W 1848 roku ułożyli oni tzw. „Cambridge Rules" — jedenaście prawideł, według których miano rozgrywać mecze.

Zanim powiemy, kiedy i gdzie odbyły się I Mistrzostwa Świata w piłce nożnej, wypada rzec kilka słów na temat FIFA, czyli Międzynarodowej Federacji Piłki Nożnej. Powstała ona 21 maja 1904 r. w Paryżu z inicjatywy duńskiego działacza Antona W. Hirschmana. Międzynarodowa Federacja w swoim statucie zastrzegła sobie wyłączne prawo organizowania Mistrzostw Świata w piłce nożnej. Do zorganizowania I Mistrzostw Świata doszło wiele lat później. Organizację tej imprezy FIFA powierzyła w 1930 roku Urugwajowi. Nagrodą dla zwycięskiej drużyny był wspaniały puchar, który wykonał francuski rzeźbiarz Abel Lafleur. Jest to posążek greckiej bogini Nike trzymającej nad głową ośmioboczny puchar. Statuetka ma 30 cm wysokości i waży 4 kg, z czego 1,8 kg stanowi złoto. Figura jest pozłacana, puchar zaś szczerozłoty. Od 1946 roku puchar ten nosi nazwę Rimeta od nazwiska prezydenta FIFA, który funkcję tę pełnił przez 33 lata (od 1921 do 1954 r.) i przyczynił się do zorganizowania tej pięknej piłkarskiej imprezy.

Gdy w 1970 r. Brazylia zdobyła po raz trzeci tytuł mistrza świata, otrzymała „Złotą Nike" na własność. W 1971 roku FIFA ufundowała nowy puchar i nazwała go „FIFA — World Cup". Jest on nagrodą przechodnią i nie można go zdobyć na własność. Każdorazowy mistrz świata otrzymuje jedynie kopię pucharu.

„Złota Nike" — Puchar Rimeta

Mistrzostwa Świata odbywają się co 4 lata. Popularność imprezy przerosła wszelkie oczekiwania. W turnieju organizowanym w 1930 roku w Urugwaju wzięło udział 13 drużyn, dziś liczba drużyn przekracza sto.

Zbliżające się Mistrzostwa Świata w Meksyku będą już XIII z kolei Mistrzostwami Świata w piłce nożnej.

Przypomnijmy dotychczasowe.

Nr	rok	gospodarz	finał	3 i 4 miejsce
I	1930	Urugwaj	Urugwaj—Argentyna 4:2	Jugosławia—USA [1]
II	1934	Włochy	Włochy—CSRS 2:1 [2]	Niemcy—Austria 3:2
III	1938	Francja	Włochy—Węgry 4:2	Brazylia—Szwecja 4:2
IV	1950	Brazylia	Urugwaj—Brazylia 2:1	Szwecja—Hiszpania 3:1
V	1954	Szwajcaria	RFN—Węgry 3:2	Austria—Urugwaj 3:1
VI	1958	Szwecja	Brazylia—Szwecja 5:2	Francja—RFN 6:3
VII	1962	Chile	Brazylia—CSRS 3:1	Chile—Jugosławia 1:0
VIII	1966	Anglia	Anglia—RFN 4:2 [2]	Portugalia—ZSRR 2:1
IX	1970	Meksyk	Brazylia—Włochy 4:1	RFN—Urugwaj 1:0
X	1974	RFN	RFN—Holandia 2:1	Polska—Brazylia 1:0
XI	1978	Argentyna	Argentyna—Holandia 3:1 [2]	Brazylia—Włochy 2:1
XII	1982	Hiszpania	Włochy—RFN 3:1	Polska—Francja 3:2

[1] meczu o 3—4 miejsce nie rozegrano
[2] rezultat uzyskano w dogrywce

Elżbieta Wrzecionkowska

MALOWANA WIEŚ

Zalipie, wieś położona w północnej części województwa tarnowskiego, na tak zwanym Powiślu Dąbrowskim — szeroko słynie z barwnych dekoracji. Odwiedzają ją liczni turyści i miłośnicy sztuki ludowej. Malowidłami pokrywa się tu nie tylko domy, ich wnętrza i zabudowania gospodarskie, ale zdobi się także studnie i płoty. Stefania Łączyńska pomalowała nawet pnie drzew rosnących w jej zagrodzie.

Tradycja malowania sięga początku naszego wieku. Pierwszą malarką, która opanowała sztukę dekorowania chat, podpatrzywszy technikę odnawania kościoła, była Joanna Curyło, córka miejscowego gospodarza. Moda na „malowaną izbę" objęła położone w ramionach Wisły i Dunajca wsie: Ćwików, Hubenicę, Wolę Żelichowską, Pilczę Żelichowską, Borusową, Świebodzin... Malowaniem obejść zajmowały się dziewczęta i młode mężatki. I choć niektóre, w miarę zwiększania się obowiązków rodzinnych, rezygnowały z artystycznych upodobań — swoje umiejętności przekazywały córkom. Bardziej utalentowane gospodynie, jak nieżyjące już: Felicja Curyłowa i Felicja Kosieniakowa, prowadziły rodzaj szkoły dla młodych dziewcząt. Rywalizację z zalipiankami podejmują czasem i mężczyźni.

Tekst i zdjęcia Jerzy Jaworski

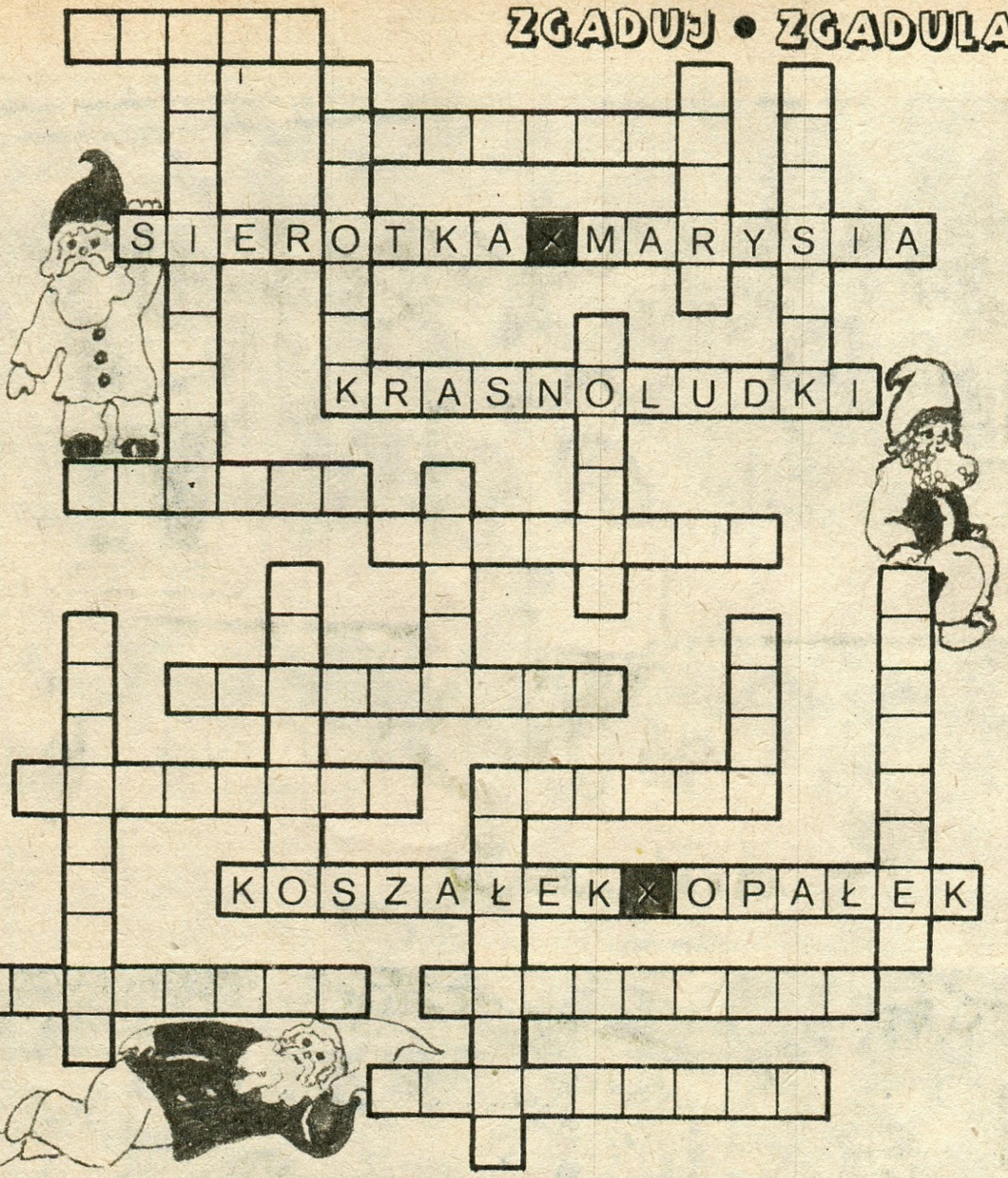

SPOTKANIE z KRASNOLUDKAMI

Zapewne czytaliście książkę Marii Konopnickiej pt. „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”? Teraz przypomnijcie sobie bohaterów tej pięknej baśni, a ich imiona wpiszcie do pustych kratek, tak aby powstała krzyżówka.

Dla ułatwienia niektóre wyrazy wpisane zostały we właściwych miejscach.

Wyrazy 4-literowe: KUBA;
Wyrazy 5-literowe: GASIO, GĄSKI, TATRA;
Wyrazy 6-literowe: MIKUŁA, PAKUŁA, WOJTEK;
Wyrazy 7-literowe: BŁYSTEK, SADEŁKO, SKROBEK;
Wyrazy 8-literowe: CHWASTEK, KRĘŻOŁEK, KUKULINA, PIETRZYK, PÓŁPANEK, ŻAGIEWKA;
Wyrazy 9-literowe: MODRACZEK, PODZIOMEK, SARABANDA, WIECHETEK;
Wyraz 10-literowy: SŁOMIACZEK.

NASZ ZWIERZYNIEC

SARNA

Do zwierząt jeleniowatych spotykanych w Polsce zaliczamy łosia, jelenia, daniela i sarnę. Jest ona obok lisa, wiewiórki, sowy, wilka czy niedźwiedzia, ulubioną przez dzieci bohaterką bajek. Ilekroć zimą na powierzchni śniegu powstaje twarda skorupa lodu, wtedy bolejemy nad losem sarny, boimy się, by nie wpadła za głęboko w zmarzlinę, by jej nie pochwycił wilk, ryś, żbik czy jakiś zdziczały pies. Jedyną obroną sarny jest ucieczka. Tak, ale nie wtedy, gdy kruchy śnieg sięga aż do brzucha.

Kiedyś oglądałem zimowe śniadanie zwierząt w puszczy. Pan leśniczy przywiózł furę siana. Oczywiście pierwsze zjawiły się żubry i nie było mowy, żeby któreś inne zwierzę — łoś, jeleń czy sarna — mogło się docisnąć. Napychały sobie żwacze sianem, tłukąc się przy tym między sobą zaciekle. Aż wreszcie jeden za drugim, garbus za garbusem, odeszły w głąb puszczy, by tam przeżuwać i trawić. Teraz ucztowały inne zwierzęta. Dla wszystkich starczyło siana.

Wiosną zapomina się o srogiej zimie. W maju i czerwcu rodzą się młode sarenki, niemrawe i mało bojaźliwe. Śpią ukryte na wrzosowiskach lub w paprociach, strzygąc uszami odpędzają muchy. Ich matki nie opodal stoją ukryte na straży. Nie wolno zabierać do domu takich sarenek! Nieprawdą jest, że są opuszczone. Źle znoszą niewolę, mimo dobrobytu. Wypuszczone na wolność giną zaszczute przez drapieżniki, gdyż nie znają uczucia zagrożenia.

Wybrałem się kiedyś nad rzekę na ryby już o północy. Usadowiłem się pod wysokim brzegiem. Spławiki tańczyły na fali. Nic nie brało. Oglądałem z nudów widoczną w mroku wyspę wiklinową. Gdy czajki krzykiem budziły słonko, zdrzemnąłem się albo może zadumałem się. Nagle jak nie skoczy coś przeze mnie do wody z wysokiego brzegu, raz, drugi, trzeci! O mało nie umarłem ze strachu. — Co za diabły? — pomyślałem. Szybko się jednak zorientowałem, że to sarny wracały z nocnego żeru na wyspę, gdzie miały swoje kryjówki. Tego dnia wracałem bez ryb do domu, ale widziałem sarny skaczące do wody!

Franciszek Kobryńczuk

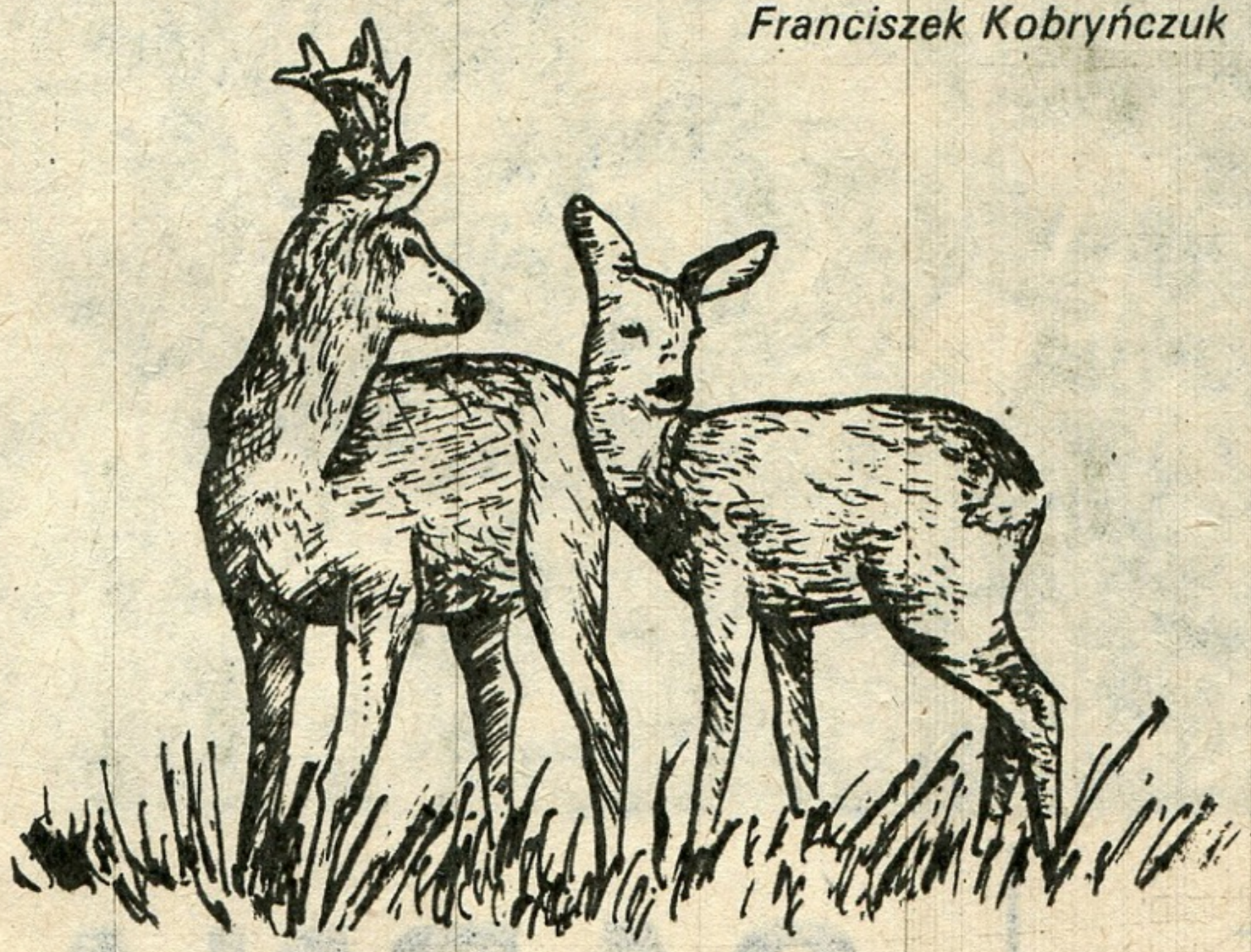

„PŁOMYCZEK"

DWUTYGODNIK DLA DZIECI

ADRES REDAKCJI:
ul. Spasowskiego 4,
skr. pocztowa 380
00-950 Warszawa
Tel. 26-27-24

WYDAWCA:
Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia"

CENA PRENUMERATY:

kwartalnie — 120 zł,
półrocznie — 240 zł,
rocznie — 480 zł,

ZESPÓŁ REDAKCYJNY:

Elżbieta Brzoza, Zdzisław Byczek (redaktor graficzny), Tadeusz Chudy (redaktor naczelny), Piotr Czech (redaktor techniczny), Maria Czernik, Alicja Olszewska (sekretarz redakcji), Stefan Rutkowski (fotoreporter), Teresa Wilk-Białożej

Opracowanie graf. numeru — Ewa Marszał-Demianiuk

WARUNKI PRENUMERATY:

— osoby mieszkające na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", oraz instytucje z tych miejscowości, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;
— osoby zamieszkałe w miastach oraz instytucje i zakłady pracy w miastach, w których są oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych w miejscu zamieszkania lub siedziby prenumeratora: wpłaty dokonują na rachunek bankowy miejscowego oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch", używając „blankietu wpłaty".

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

TERMIN przyjmowania prenumeraty:
— do dnia 10 listopada br. na I kwartał, I półrocze oraz cały rok następny;
— do dnia 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty w 1986 r.

Drukarnia Wydawnicza im. W. L. Anczyca, Kraków, ul. Wadowicka 8.
Papier rotac. 70 g, rola 75 cm, kl. V, i rotogr. 125 g, 86×122 cm, kl. V.
Zam. 1870/86 A-7
Nakład 430.370 egz.
ISSN 0137-8511

NASZ ZWIERZYNIEC

Tekst na str. 31

SARNA

CENA 20 ZŁ